WYWIAD
Janusz Filipiak

Uczelnie marnują dotacje

Jeśli się zna zasady rozliczania grantów, można brać dotację, a potem przy rozliczeniach lać wodę. Osobie z zewnątrz trudno będzie to odkryć, bo przecież trzeba by być specjalistą w danej dziedzinie

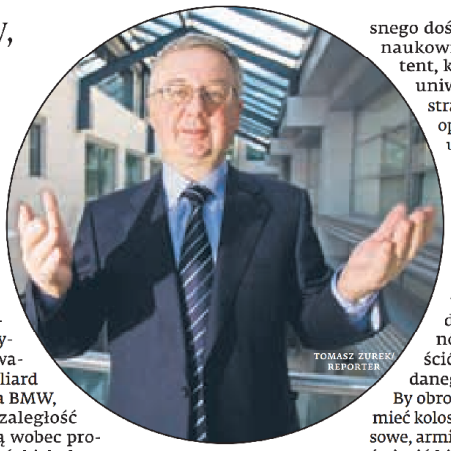
TOMASZ ZUREK/REPORTER

Z **prof. Januszem Filipiakiem** rozmawia Sylwia Czubkowska

Kilkanaście dni temu Zakład Robotyki na Politechnice Wrocławskiej został rozwiązany. Policja zatrzymała jego szefa, utytułowanego naukowca, i w zasadzie wszystkich pracowników pod zarzutem zdefraudowania 1,8 mln zł grantów przyznanych na badania naukowe.
Przyznam się, że nie słyszałem o sprawie.

Nie bez powodu ją przywołuję. Być może jest odosobniona, ale na pewno daje do myślenia o tym, jak uczelnie korzystają z dotacji na badania. Granty w tym zakładzie wydawano na pozorowane zlecenia dla rodziny i znajomych. Mimo licznych kontroli i audytów nikt tego przez lata nie zauważył.
Problem tkwi w samej podstawie tego systemu. Sam byłem naukowcem pracującym na uczelni, kierownikiem katedry i z własnego doświadczenia akademickiego wiem, że dla profesorów – nie tylko w Polsce, lecz w całej Europie – podstawowym problemem jest to, jak dostać grant na badanie. Jego rozliczenie to już tylko biurokracja. Jeżeli dochowa się wymogów formalnych, wszystko zrobi się w odpowiednim czasie, to wartość merytoryczna badań, do których prowadzenia wykorzystano pieniądze, nie jest oceniana. Naprawdę można niewiele zrobić i niewiele wnieść do rozwoju nauki, wystarczy udowodnić, że wykonało się zapisy formalne umowy na dotacje.

Ale przecież da się chyba zbadać merytoryczne efekty prac prowadzonych z dotacji?
To jest bardzo trudne. Jak się zna zasady rozliczania grantów, można lać wodę i osobie z zewnątrz trudno będzie odkryć, że to woda, bo przecież trzeba by być specjalistą w danej dziedzinie, by odkryć luki w merytorycznych uzasadnieniach badań. Dziś odpowiedzialność uczonych za realizację badań w ramach przyznanych środków jest bardzo ulotna, wręcz znikoma. Nie odnosi się to wyłącznie do uczelni, ale do całego systemu przyznawania środków publicznych na naukę i badania. Podstawowym kryterium powinna być w tym przypadku wiarygodność wnioskującego. Tak jest w Stanach Zjednoczonych, w Izraelu i w Japonii. Tam, żeby w ogóle starać się o grant, trzeba mieć już dowód własnych dokonań, np. w postaci ważnych publikacji w uznanych czasopismach. To pokazuje, że ma się doświadczenie, by realizować kolejne badania.

Przecież to całkiem odcina szanse młodych ze świetnymi pomysłami, ale jeszcze bez dokonań.
W dzisiejszych czasach pomysł nie jest w nauce najważniejszy. Tylu ludzi na całym świecie bada rozmaite problemy, że nie ma co liczyć na wyjątkowość poszczególnych z nich. Już w latach 80., kiedy sam pracowałem naukowo w laboratoriach w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Australii, nie było praktycznie możliwości, żebym wymyślił coś, czego ktoś inny nie odkrył niemal w tym samym czasie. Dziś dodatkowo mamy bardzo szybki przepływ informacji, także o wszelkich badaniach, ulepszeniach i odkryciach. Sam pomysł nie wystarcza. Badanie naukowe to powinna być pasja. Jeżeli ktoś jej nie ma, nie powinien się tym zajmować. Może nie powinienem, ale odwołam się do swojej historii. Do 33. roku życia żyliśmy z żoną w biedzie. Moje stypendium doktorskie pozwalało nam dociągnąć do końca miesiąca czasem w skrajnych warunkach. Żeby dorobić, pracowałem jako dozorca na budowie, a w nocy pisałem habilitację i mimo wszystko udawało mi się publikować. Nie twierdzę, że to wzorcowa biografia i wszyscy powinni przejść taką ścieżkę. Ale dziś jest przecież lepiej, młodzi naukowcy dostają stypendia i pensje za asystenturę na uczelni. Wtedy powinni się wykazać, udowodnić, że chcą, potrafią i że są wiarygodni, by dostać środki na badania.

Uczelnie zapewne oburzą się na taką argumentację. Postuluje pan odebranie im sporych pieniędzy. I kto miałby je dostać? Biznes?
Ależ ja nie chcę pauperyzacji uczelni. Tylko nie można dłużej utrzymywać tego fikcyjnego modelu wspierania badań. W tej chwili zasada finansowania opierająca się na wiarygodności jest stosowana choćby w Niemczech. Tam pieniędzy nie dostają jakieś maleńkie firmy czy start-upy tylko duże i uznane instytucje, które mają potencjał, by te środki wykorzystać. Dla przykładu rząd Bawarii przyznał miliard euro grantu dla BMW, by nadgoniło zaległość technologiczną wobec producentów japońskich, lecz także innych firm niemieckich. Nie były to pieniądze na wymyślenie jakichś całkiem nowych rozwiązań, ale przyznane z troski o rodzime przedsiębiorstwo, tak by ten regionalny producent mógł konkurować z innymi graczami, zarówno lokalnymi, jak i europejskimi czy globalnymi.

Takie środki dla przedsiębiorstw też są przecież przyznawane w Polsce.
To fikcja. Na 40 wniosków o dofinansowanie, które złożyliśmy w ostatnich latach, uznano ułamek. Bardzo często dostajemy odpowiedzi od recenzentów, że przecież Comarch ma takie zyski, że sami możemy sfinansować badania.

Może mają rację? W ubiegłym roku Comarch miał prawie 900 mln zł przychodu, więc i pieniądze na badania powinny się znaleźć.
Nie chodzi o to, czy jesteśmy w stanie takie badania finansować, czy nie. Bo na ten cel wydajemy naprawdę spore kwoty, w ubiegłym roku ponad 104 mln zł. Chodzi o to, że jako firma płacimy też setki milionów złotych podatków w Polsce i państwo nam jako płatnikowi powinno pomagać. Nie po to, żebym osobiście stał się bogatszy, bo mnie w zupełności wystarcza to, co już mam, lecz po to, żebyśmy byli w stanie konkurować z firmami zachodnimi czy azjatyckimi, które taką pomoc od swoich państw dostają. Ścigamy się więc z nimi na dużo gorszych warunkach, tracimy przewagę konkurencyjną, a w efekcie traci cała polska gospodarka. Politycy i urzędnicy muszą zrozumieć, że pieniądze trzeba przekazywać tym, którzy są w stanie je efektywnie wykorzystać. Tymczasem traktują je jako zapomogę, a nie jako wsparcie rozwoju. W efekcie, jak pokazują wszystkie statystyki i raporty, Polska spada w rankingach innowacyjności.

Na razie jednak to polskie uczelnie patentują kilka razy więcej niż polskie przedsiębiorstwa.
Nie przeceniałbym statystyk dotyczących liczby patentów. Znowu odwołam się do własnego doświadczenia. Jako naukowiec miałem patent, który zrobiłem na uniwersytecie w Australii. Wszystko było opłacone, porządnie urzędowo opisane. I co z tego, Amerykanie mieli to w nosie i na swoim rynku opatentowali to samo. Tak naprawdę dziś patenty są tylko dla dużych koncernów, by nie dopuścić małych firm do danego kawałka tortu. By obronić patent, trzeba mieć kolosalne środki finansowe, armię prawników i poświęcić kilka lat na batalie sądowe. A więc uczelnie patentują nie po to, by ochronić wynalazek i go potem komercjalizować, tylko dlatego że to jedno z kryteriów oceny uczelni dokonywanej przez Ministerstwo Nauki. Im więcej wynalazków opatentowanych przez uczelnię, tym wyższe ma wskaźniki innowacyjności, tym lepszą kategorię otrzymuje, a co za tym idzie – wyższe granty. I biznes się kręci.

Pan i pana firma korzystacie z polskiej myśli naukowej?
Na pewno częściej z zasobów ludzkich niż z wyników. Ale jest z tym problem, bo środki przyznawane na badania i to, że wymaga się od uczelni wynalazków i patentów, powodują, iż szkoły wyższe sporo dobrych absolwentów zatrzymują u siebie. Nie po to, by robili badania podstawowe, czyli takie, które prowadzą do ustalenia lub obalenia pewnych definicji lub tez, tylko by pracowali na swoich profesorów. Mają te wynalazki zrobić, potem założyć małą firemkę, która trzy – cztery patenty sprzeda znajomym profesora. I tyle. To nie jest tylko problem polski, ale ogólnoeuropejski. Zamiast prowadzić pracę naukową, uczelnie starają się zajmować tym, co powinno być w gestii przemysłu. To był jeden z powodów, dla których w ogóle zrezygnowałem z pracy naukowej. Uczelnie przecież nie mają szans, nawet jeżeli ich pracownicy coś wymyślą i opatentują, by sensownie to skomercjalizować. Przecież nie mają biur sprzedaży, które by się w tym specjalizowały.

Teraz Ministerstwo Nauki stara się wymóc na uczelniach, by właśnie biura sprzedażowe miały, by zatrudniały menedżerów, brokerów innowacyjności.
I wciąż idziemy w złym kierunku. Uczelnie przejmują funkcje przemysłu, a przemysł jest niedoinwestowany. A przecież, jak spojrzeć na historię nauki i techniki, na żadnym uniwersytecie nie powstał nigdy żaden ważny wynalazek. Nawet Edison swoją żarówkę opracował poza uczelnią.

A widzi pan naukowców w Polsce idących w pana ślady? Takich, którzy porzucają uczelnię i zaczynają pracować dla biznesu, czy to zakładając własną firmę, czy zatrudniając się w dużych korporacjach?
Ogromna część profesorów boi się wziąć odpowiedzialność za to, co robi. Stosunkowo krótko po założeniu Comarchu zwolniłem się z uczelni. Bodajże w 1998 r. napisałem list z rezygnacją. Byłem profesorem mianowanym, z dożywotnią gwarancją zatrudnienia i naprawdę mogłem nic nie robić – ani nie prowadzić wykładów, ani nie chodzić na radę wydziału – a i tak być dalej na etacie. Więc ta rezygnacja była sensacją w naszym środowisku. Dziś profesorom trudno rozstać się z synekurą, z komfortową sytuacją, w której mają zagwarantowane świetną pozycję i często dwa stołki: wykładowcy i naukowca z grantami. System nie powinien na to pozwalać. Niech profesor zakłada tę firmę spin-off, czyli specjalnie wydzieloną komórkę do komercjalizacji wynalazku, ale po dwóch latach powinien albo ją sprzedać, albo zrezygnować z pracy na uczelni. W innym wypadku firma nie osiąga dojrzałości gospodarczej, konsumuje dużo środków pomocowych, a jej sens makrogospodarczy i społeczny jest nijaki. Tyle że utrzymuje profesora i jego kilku asystentów.

Trwają konsultacje nowych programów unijnych, w ramach których w następnych latach ma być wspierany rozwój innowacyjności w Polsce. Może one przynioską zmiany w sposobie finansowania uczelni i biznesu.
Wątpię. W Polsce wciąż ciałem społecznego zaufania są tylko naukowcy. Cała polityka przyznawania środków na innowacje jest oddana pod ich ocenę. I lobby profesorskie zabezpiecza, by środki wciąż szły tylko na uczelnie. A politycy naprawdę powinni wreszcie wziąć odpowiedzialność za dystrybucję tych środków i nie bać się decyzji, które byłyby nie po myśli tego lobby. W Niemczech polityk, który chce dać miliard euro firmie i uważa, że to jest słuszne, nie pyta o zdanie profesorów, tylko przekazuje pieniądze. Potem oczywiście jest też rozliczany z tej decyzji. Ale jakoś o aferach z tym związanych nie słychać.

Politycy i urzędnicy muszą zrozumieć, że pieniądze trzeba przekazywać tym, którzy są w stanie je efektywnie wykorzystać. Tymczasem traktują je jako zapomogę, a nie jako wsparcie rozwoju

JANUSZ FILIPIAK

profesor nauk technicznych. W latach 90. kierował Katedrą Telekomunikacji na Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie. W 1993 r. założył firmę informatyczną Comarch SA, której prezesem zarządu i dyrektorem generalnym jest do dziś. W pierwszych latach firma funkcjonowała na terenie AGH jak spin-off, czyli spółka powołana do komercjalizacji wynalazków z uczelni. Po kilku latach Filipiak zdecydował się porzucić karierę naukową i całkiem poświęcić się biznesowi. Comarch to dziś poważny międzynarodowy gracz w dziedzinie produkcji oprogramowania dla przedsiębiorstw oraz administracji publicznej